

ROK I

NR. 4

SKAWA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

- STANISŁAW BACZYŃSKI Świadomość społeczna
w literaturze
- TADEUSZ BOCHEŃSKI Dziś
- JAN KOPROWSKI Ja
- TIBOR CSORBA Charakterystyczne ce-
chy literatury węgier-
skiej
- FRYDERYK NIETSCHE O czytaniu i pisaniu
O śmierci z wolnej woli
- JANINA BRZOSTOWSKA Za lat miliony (powieść)
- SERGIUSZ JESIENIN Lis
Pieśń o psie
- JANINA BRZOSTOWSKA Zjazd pisarzy polskich
na Zaolziu
- M. MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA Noty z teatru
Z KSIĄŻEK
- PLEBISCYT: KOGO NIE WOLNO POMINAĆ W ANTO-
LOGII POEZJI POLSKIEJ 1918—1940.

KWIECIEŃ

WARSZAWA

1939

CENA 50 GR.

SKAWA

miesięcznik literacki

pod redakcją

JANINY BRZOSTOWSKIEJ



ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI
WARSZAWA: UL. NOWOGRODZKA Nr. 23, m. 5. TEL. 9-55-88

Godziny przyjęć redakcji: wtorki 5-7

Cena numeru pojedynczego	0.50 gr
W prenumeracie rocznej	6.— „
półrocznej	3.— „

wraz z kosztami przesyłki i opakowania.



S K A W A

NR. 4

1939

STANISŁAW BACZYŃSKI

ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA W LITERATURZE*)

W toku dyskusji na temat społecznego znaczenia literatury, utarł się pogląd, że świadomość społeczna pisarza różni się od świadomości każdego innego członka społeczeństwa, że jest wszechstronna, gdyż nie ogranicza się do interesów, związków i ideałów tylko jednej i określonej sfery społeczeństwa, lecz, przelewając się nawet poza ramy spraw literackich, dociera i przenika do świadomości innych grup społecznych, aby je przeświecić, poznać i określić, a przede wszystkim zużytkować jako obiektywny i bezstronny materiał w pracy literackiej. Wynikałoby z tego, że o ile treścią świadomości grup społecznych i ich członków są czynne antagonizmy w stosunku do grup innych lub też związki z nimi, o tyle interes pisarza polega jakoby głównie na zrozumieniu syntetycznym, plastycznym ujęciu stosunków ludzkich w ogóle, tak, jak one wyglądają lub załamują się w jego własnej świadomości. Słowem, że warunkiem doskonałego artysty nawet w sztuce realistycznej jest jakiś abstrakcyjny, bezideowy obiektywizm. Pojęta myśl ta ma jednak znaczenie wyłącznie teoretyczne i byłaby zgodna z prawdą tylko wówczas, gdybyśmy przyjęli, że pisarz jest jakąś istotą nadrzedną, pozbawioną własnej świadomości grupowej, rzadkim wyjątkiem, orientującym się w życiu i działającym tylko na podstawie świadomości indywidualnej. W społeczeństwie jednak taki rodzaj świadomości wyłącznie indywidualnej nie istnieje. Nawet jednostki lub odrębne grupy przeciwstawiające się całości ustroju społecznego, jak rewolucjoniści, lub naruszające w imię interesów egotycznych porządek prawny społeczeństwa, jak zbrodniarze, są wyrazicielami pewnych świadomości grupowych i określonej postawy wobec zbiorowości. Tym bardziej zaś świadomość pisarza, biorąc rzecz realnie, nie jest czymś oderwanym, absolutnym, w czym odbija się tylko rzeczywistość otaczająca, o literatura nie stanowi wyłącznie udoskonalonego narzędzia analizy, prześwietlającej świadomość grup społecznych dla samego obrazu artystycznego, dla odtworzenia czy prze-

*) Fragment z książki p. t. „Fikcja i rzeczywistość“, która ukaże się niebawem nakładem „Nowej Biblioteki Społecznej“.

tworzenia wydobytej stąd treści. Postulat obiektywizmu artystycznego, któryby z tego wynikał, miałby przeto znaczenie wyłącznie teoretyczne, gdyż w praktyce nigdy się nie urzeczywistnia. Jeżeli zaś są próby i usiłowania w tym kierunku, to rezultatem ich jest zazwyczaj całkowita bezbarwność obrazu, brak treści emocjonalnej, dynamiki, a tym samym martwość pod względem artystycznym.

Pisarz bowiem nie jest tylko obserwatorem i analitykiem w stosunku do swojego środowiska, nie jest mniej lub więcej wiernym sprawozdawcą lub badaczem, lecz musi wyrażać przede wszystkim własny subiektywny stosunek do rzeczywistości, a za tym ideę, koncepcję świata, opartą o własną świadomość grupową.

2.

Czy istnieje odrębna grupa pisarska i jej świadomość grupowa? Zbiorowe wystąpienia pisarzy w sprawach ogólnospołecznych i politycznych wskazywałyby na istnienie pewnych grup literackich, opartych o świadomość wspólnych zadań i wspólną postawę wobec rzeczywistości. Lecz wystąpienia te obejmują zawsze tylko pewne określone sfery pisarzy, w stosunku do których inne sfery literackie zajmują stanowisko opozycyjne lub wręcz nieprzyjemne, co świadczy o braku jednolitej świadomości grupowej, właściwej temu zawodowi i jego reprezentantom. Dowodziłoby to również, że grupa literacka nie może być traktowana na równi z innymi grupami społecznymi, że świadomość jej zbiorowa nie da się ściśle sformułować, gdyż nie znajduje wyrazu w jednolitej postawie wszystkich pisarzy wobec rzeczywistości. (Pomijam świadomość zawodową w stosunku do interesów materialnych, która zresztą jest w tym środowisku też niezwykle słaba). Nasuwałoby to wnioski, że pisarze są grupą społeczną, mieszczącą się tylko w ramach teoretycznej klasyfikacji, dającą się określić statystycznie, obiektywnie, lecz w istocie, praktycznie, świadomość ich, i wynikająca z tego postawa wobec rzeczywistości, jest rezultatem środowiska, w którym każdy pisarz oddzielnie żyje, z którym jego interesy życiowe się pokrywają. Obiektywnie przeto każdy pisarz należy do innej grupy społecznej i jest reprezentantem jej świadomości, jej postawy życiowej, jej interesów, dążeń, czy ideałów. Wspólnym zaś mianownikiem wszystkich pisarzy jest tylko forma zewnętrzna ich pracy, najogólniejszy, nieunormowany zresztą, schemat produkcji, słowem zawód, w którym analogie posiada głównie strona zewnętrzna, formalna, niezależna od świadomości; produkt w postaci książki. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w ramach tego zawodu, powstają sporadycznie grupy mniejsze, których świadomość formułuje się zależnie od wspólnego środowiska, zbliżonej postawy życio-

wej, zainteresowań i dążeń ideowych i w tym znaczeniu można dziś mówić z zastrzeżeniem o grupach literackich, w liczbie mnogiej, co świadczy o znacznym zróżnicowaniu świadomości artystycznej, czy społecznej pisarzy. Tym bardziej, że zawód pisarza, jak dowodzi statystyka, nie jest zawodem *stricto sensu*, gdyż w wyjątkowych tylko wypadkach zapewnia byt materialny, co zmusza pisarzy do pracy w innych zawodach, a tym samym do przynależności do bardziej jednolitych grup społecznych.

3.

Czysto indywidualna produkcja pisarza, nie oparta na żadnej podwalinie i społecznym zróżnicowaniu produkcji, predystynuje go z góry do traktowania swej pracy jako zamkniętej i niezależnej społecznie funkcji. Poza tym, doniosłe znaczenie, utrudniające zespolenie świadomości grupowej posiada również czynnik artystycznej ambicji i współzawodnictwa, który stwarza stałe hamulce dla społecznego zbliżenia pisarzy i artystów. Współzawodnictwo to o charakterze wybitnie indywidualistycznym stanowi moralną przeszkodę do powstawania wyraźnej świadomości grupowej, w przeciwieństwie do innych zawodów opartych na *podziale pracy i funkcji*, gdzie może ona potęgować i wzmacniać się przez kolektywne cele i zadania. Grupy literackie, powstające dokoła określonych programów artystycznych nie mogą tu być brane pod uwagę, jako zjawisko przejściowe, przeważnie krótkotrwałe, dające tylko odeskoczną artystyczną jednostkom, poza tym społecznie niezwiązanym.

Z uwag tych wynikałoby, że naturalną funkcją pisarza jest nie tylko wytwarzanie „piękna“, lecz wyrażanie w dziełach literackich świadomości, celów, dążeń, interesów własnych i swego środowiska. Faktycznie bowiem pisarz należy zawsze do jakiegoś środowiska, a zwłaszcza w Polsce, gdzie musi pracować na innym polu, również do jakiejś określonej zawodowo grupy społecznej. Tym samym staje się wyrazicielem świadomości grupy, do której jako człowiek zarobkujący należy. Poza tym może też należeć do określonej grupy ideologicznej, politycznej, społecznej i t. p., której wpływ zaznacza się w jego dziełach mimo woli, skutkiem stałego oddziaływania myślowego, emocjonalnego, a nawet zmysłowego. Nie znaczy to, że pisarz „powinien“, ale że wyraża niezależnie od własnych złudzeń nawet, pewną określoną w swojej świadomości postawę wobec życia, a tym samym i dzieła jego mogą być dokumentem i materiałem do badań socjologicznych nad grupą społeczną, do której należy. Dokumentem tym bardziej cennym, że jako członek pewnej klasy, czy grupy społecznej, o wyższym nieraz poziomie inteligencji, czasem zaś silnie rozwiniętej

świadomości interesów pewnej grupy, czy klasy, pisarz stanowi w każdym razie przejaw jej kultury najwyższy, najbardziej syntetyczny i uchwytny.

4.

Badanie dokumentu społecznego, jakim jest dzieło literackie, a szczególnie powieść, może być różnorodne i wielorakie. Dzieło może być materiałem naukowym socjologii, psychologii, historii literatury i t. p. lub też przedmiotem krytyki literackiej. O ile w pierwszych wypadkach obowiązują sprawdziany czysto obiektywne, głównie zaś klasyfikacja i opis, o tyle krytyka nie może się zadowolić czystą przedmiotowością. Bada ona nie tylko formę i treść wyrazu literackiego, ale musi *zająć wobec niego stanowisko subiektywne, czyli rozpatrywać dzieło na płaszczyźnie żywego spłotu zjawisk współczesnych, musi się do niego ustosunkować jako do wyrazu pewnej świadomości grupowej*. Stało się to szczególnie ważne od czasu, gdy dzięki demokracji po wojnie światowej, udział w życiu literackim zaczęły brać wszystkie prawie klasy i grupy społeczne, a monopolistyczne stanowisko kultury mieszczańskiej uległo zachwianiu.

Podejście krytyki współczesnej do literatury musi być przede wszystkim dynamiczne, w porównaniu ze statycznym badaczy naukowych; dynamiczność zaś polega tu na wydobyciu z dzieła literackiego nie *s c h e m a t u*, nie materiału do istniejących już formuł i uogólnień, ale elementów odrębnych, ważnych dla procesów odbywających się w świadomości społeczeństwa, wskazujących nie tylko na to, co się już dokonało, lecz głównie na kierunkowe napięcia w świadomości zbiorowej, na to, co nadchodzi, co powinno nadejść, co się dzieje i staje. Jest to tym bardziej ważne, i aktualne, iż powieść, nie tylko polska, coraz wyraźniej zaczyna wkraczać w sferę spraw społecznych i politycznych, styka się bezpośrednio z życiem bieżącym i nie tylko zużytkowuje to życie jako materiał, lecz odwrotnie, zaczyna na nie oddziaływać przez formułowanie plastyczne dążeń, pragnień, bytu i ideałów różnych grup społecznych. Dlatego też nie może ona już być rozpatrywana tylko jako zjawisko wyłącznie literackie, a kwalifikacją jej jedyną nie może być tylko artyzm formy, ponieważ szukamy w niej również wartości pozytywnych społecznie, dla których artyzm jest tylko środkiem wyrazu, nie zaś celem samym w sobie. Najdoskonalsze bowiem pod względem formy fikcje literackie, o ile leżą poza granicami publiczności czytającej, nie znajdują punktów styczności z potrzebami społeczeństwa.

5.

Miarą sensu, racji bytu powieści współczesnej jest jej znaczenie *wyjaśniające i formułujące, albo społecznie dynamiczne: wyjaśniające przez opis, obraz rzeczywistości i środowiska, oraz*

sformułowanie zachodzących w nim procesów psychicznych, uświadomienie reszcie społeczeństwa tych procesów, a tym samym rozszerzenie wiedzy jego o siebie samym; d y n a m i c z n e, drogą szerzenia samowiedzy, kształtowania świadomości zbiorowej grup społecznych, a przez to ich twórczej społecznie potencji ideologicznej. Można więc powieść współczesną ujmować: 1. jako zbiór dokumentów i ich stosunek do różnorodnych zjawisk życia, oraz 2. jako czynnik uświadomienia w stosunku do całego społeczeństwa, czynnik twórczy i społecznie wychowawczy. Oczywiście, iż z zakresu tego wyłączam trywialnie pojętą urzędową tendencję, daleką od bezpośredniości i pozbawioną zazwyczaj walorów artystycznych, jakkolwiek i ona stanowi specyficzny objaw życia zbiorowego w literaturze.

W jednym i drugim wypadku zadanie krytyki polega na wydobyciu, uporządkowaniu i podkreśleniu tych elementów świadomości literackiej, które przyczynią się do odpowiedzi na pytanie: jak wygląda rzeczywistość na kliszy literackiej, i jak wygląda literatura w zestawieniu z rzeczywistością? Pozwoliłoby to w następstwie na próbę określenia f u n k c j o n a l n e g o znaczenia literatury w życiu zbiorowym, czyli jej roli uświadamiającej i wychowawczej (nie w znaczeniu banalnego dydaktyzmu, ale organizowania czynnej krytycznej i ideologicznej postawy klas, czy grup społecznych). W porównaniu z dawnym indywidualistycznym założeniem krytyki, która po przez dzieło starała się odbudować, czy określić psychikę jednostkową pisarza i jego odrębną często postawę wobec świata, krytyka dzisiejsza, wobec zmian dokonywujących się w samej literaturze, musi przenieść punkt ciężkości z jednostki na zbiorowość i starać się określić postawę grupy, warstwy, czy klasy społecznej, która przemawia do zbiorowości przez dzieło literackie.

Wynika stąd, że zboczenia indywidualne psychiki uważane dawniej za oryginalną i właściwą wartość literackiego utworu, a wchodzące często w zakres patologii, stanowią wartość odrębną, i drugorzędną, w każdym razie nie istotną. Istotną bowiem wartością dzieła literackiego jest to, co l u d z i ł ą c z y, n i e z a ś, c o i c h d z i e ł i, a wydobycie i określenie tego stanowi zasadnicze i podstawowe żądanie krytyki literackiej, która przede wszystkim pełni funkcję społeczną, włączając dzieło na zasadzie jego walorów treściowych i formalnych do krwiobiegu społeczeństwa.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

DZIŚ

Józefowi Wittlinowi.

To jest ten właśnie smutek: życie dziś.
Człowiekiem być nie wolno. Zabij myśl,
w gruczoł, który hormonem tryska nienawiści,
zmień serce! Wtedy nowi staniemy i czyści.

Już nic nie wiąże takich z wiekami, co piękna,
dobra, prawdy żądały, przeszłość niepamiętna.
Już nic nie woła takich pod księżyc i gwiazdy,
nie każe Boga wtęskniać w omrok nieprzyjazny.
W bezbożu i bezludziu pleni się i mnoży
klan półludków, by w sobie na siebie się srożyć,
ciszy nie czcic ni mózgiem tajemnicy gryźć.
To jest ten właśnie smutek: życie dziś.

JAN KAPROWSKI

J A.

Mam na grzbiecie wytarty płaszcz,
w ręku: słońce, w oczach: drzewa i niebo.
Jestem niczyj tak samo, jak wasz
ludzie ziemi i czarnych chlebów.

Noszę myśli smutne jak deszcz,
rozłupane chmurami kałuż.
Gorycz wisi nademną, jak miecz,
żał mnie liże jak miałki ałun.

Po gościńcach szukam szklanych słów,
przywiezionych zdala na wozie.
Nad wieczorem chwaleę ziemi trud,
co noc pachnie mi w domu czarnoziem.

Matka moja żyje jak mgła
rozwłóczona rankiem po polu.
Moja matka to przecież ja
wydarty z gniazd burych orląt.

Idę ziemią wśród rudych brył
twardy kłębek trudnego czasu.
Mam bogom ziemistym jak ił
białe głowy chmurami zasnuć. *)

*) Wiersze z przygotowanego do druku tomu p t. „Brzo-
zy i kominy.“

TIBOR CSORBA

CHARAKTERYSTYCZNE CECHY LITERATURY WĘGIERSKIEJ

I.

Określić charakter jakiegokolwiek literatury znaczyłoby podać wszystkie jej zasadnicze właściwości. Zadanie długie i trudne. Przy charakteryzowaniu literatury węgierskiej będzie nam chodziło o to, by naszkicować jedynie te cechy, z których powstała literatura *madziarska*. Przedewszystkiem chodzi nam o stwierdzenie, czy literatura węgierska posiada swój specjalny charakter i jak wygląda jej oblicze.

Dawniejsi krytycy literatury madziarskiej pozostają pod silnym wpływem niemieckim. Ze szczególną pieczołowitością doszukują się związków pokrewieństwa pomiędzy cechami węgierskimi a niemieckimi. Z chwilą gdy coś nowego pojawiała się w literaturze węgierskiej natychmiast doszukiwano się analogij w literaturze niemieckiej. W ten sposób prawdziwe źródła literatury węgierskiej przez długie lata były nieznanne szerszemu ogółowi. A zagranicą wogóle nie wie, że literatura węgierska posiada własne oblicze.

Literatury zachodnie zawsze zależne były od prądów historycznych, natomiast węgierska nie ulegała zupełnie działaniu ani średniowiecznego katolicyzmu czy protestantyzmu, ani feudalizmu czy monarchii. Takiego wpływu, jaki miał na literaturę francuską ustrój monarchistyczny, Węgry nie znały zupełnie.

Do 1867 r. Węgry nie posiadały zwykłej struktury społecznej — nie miały mieszczaństwa, lecz tylko warstwę chłopską. Chłopi budowali kraj, a tworzące się naokół życie pochłaniało wielu z nich, najzdolniejszych. To też początków literatury madziarskiej należy szukać w glebie, tam bowiem znajdują się jej korzenie. Jest to literatura wybitnie związana z ziemią. W ziemi tkwi początek literatury węgierskiej i stamtąd wypływają jej cechy specyficzne.

II.

Badając wpływy obce na literaturę węgierską musimy odrazu na samym początku stwierdzić, że są one bez znaczenia. Jedyne wyjątek stanowi tutaj literatura łacińska. Psyche madziarska jest krańcowo różna od psyche niemieckiej. Dezső Szabó powiedział, że „są one od siebie tak dalekie, jak to jest tylko możliwe w granicach ludzkiej możliwości.“

Wpływ łatyński (pod którym rozumiemy literaturę łacińską i francuską) nie oznacza oczywiście naśladownictwa ani też bezkrytycznego kopiowania. Nieznane są przykłady takie jak powstanie Cyda Corneille'a pod wpływem hiszpańskiego Cid des Ines de Castro, Las macedades del Cid, lub też Don Juana Moliera. Z podobnym wypadkiem spotykamy się u Tirso de Molina: *El Convidado*

depiedra, u Daudets'a: *Petite chose* i u Dickensa: *Dawid Copperfield*. Jedynie u mało znanych autorów z okresu renaissansu literatury madziarskiej spotkamy się z faktem zaczerpnięcia motywów obcych (koniec XVIII w. i początek XIX w.). Wpływy te jednak nie dotyczą ani formy ani treści wewnętrznej. Ograniczają się one do tego, że duch literatury węgierskiej zostaje pobudzony przez ducha literatury francuskiej czy łacińskiej. Pod jego wpływem budzi się uśpione życie duchowe Węgier.

Klasyczne formy w literaturze spotykamy u węgierskiego Horacego: Berzsny, u Károly Kisfaludi, u „króla poetów“ Vörösmarty „pozdrowienie madziarskiej ziemi — (Humus)“.

Małą rolę w literaturze odegrali epigoni Potöfi'ego-Arany'a pisarze z okresu od 1867 r. do początków XX w. Ten, który stworzył nową ewangelię dla literatury węgierskiej, Endre Ady czerpał również natchnienie z literatury francuskiej. Fałszywy był jednak pogląd, że naśladował on niewolniczo swoich mistrzów. Ady w Paryżu wprawdzie odnalazł sam siebie, ale dla swojej twórczości wytyczył sam wyraźną drogę. W stolicy świata kulturalnego odnalazł Ady swoją najgłębszą treść i istotę. Tam obudziło się w nim pragnienie życia. Po powrocie tym głębiej odczuł smutek życia madziarskiego i odtworzył go po mistrzowsku.

III.

Gdybyśmy przeszukali płodną glebę literatury madziarskiej, natrafilibyśmy nieraz na chłop a węgierskiego. Cała literatura jest nim przesiąknięta i tym się różni od zachodniej, że nigdy nie wyrzekała się pierwiastka ludowego. Przeciwnie, zawsze dopuszczała do głosu te elementy, które wydobywały z ukrycia duszę narodu. Toteż gdy któryś z pisarzy chciał dać obraz swojego żywota, to mógł to uczynić używając (świadomie czy nieświadomie), środków, które nagromadziły się przez wieki w literaturze ludowej. Pierwszy wielki lirik, Balassi, jest dzieckiem literatury ludowej. Cała twórczość węgierska jest cudownym jej kwiatem. Do czasów Petöfi'ego odgrywa ona stale wielką rolę, a do punktu kulminacyjnego dochodzi w balladach Ady'ego. Ballady stanowią 80 proc. jego bogatej twórczości, która nadała nowe formy twórczości ludowej.

IV.

Niezawsze umiano dostrzec w literaturze węgierskiej nieprzerwany wpływ twórczości ludowej. A jednak bez trudu możemy ją tam zawsze wykryć. Już w XVI, w XVII w., widzimy u kardynała Pázmány, że nie tylko język autorów, lecz humor, chytry sposób wyciągania wniosków, szyderstwo — są zaczerpnięte z życia ludu. Nie zauważono również wpływu twórczości ludowej na drugi okres rozkwitu prozy węgierskiej w XIX w. Postacie i cały pogląd na świat, zawarty w powieściach Mauriciusa Jokay'a są zaczerpnięte

te ze świata bajek. „Jest to pra-ludowy opis świata“ — jak pisze Deszö Szabó. Fabuła Jokay'a jego mitologia są ludowe, jego humor i żart są odbiciem duszy ludu.

Wszystkie te wartości, które do liryki wnosi Ady, w prozie daje nam Deszö Szabó w dziełach: Elsodorf falu, Segitség, Csodalátos élet.

V.

Literatura madziarska bardziej, aniżeli literatura zachodnia zajmuje się problemami historycznymi i socjalnymi. Głosiciele ewangelii madziarskiej w prostym ludzie widzieli rdzeń i podstawę węgierskości. Już Széchényi zwrócił uwagę, co znaczy 1 u d w twórczości węgierskiej. Heltai opisuje opłakaną dolę chłopca węgierskiego. Zrinyi znów opiewa tułacze życie żołnierza. Katona odmalowuje nam w „Bánk bán“ tragedię panów węgierskich, a główną postać tej madziarskiej tragedii, Tiborc, kreśli dolę chłopów, z cudowną ekspresją przedstawiając tragedię tysięcy. Po Tiborcu przychodzi Ludas Matyi, inna figura ludzka, ludowa.

Petőfi, Arany, Jokay i inni, uczynili wszystkie wysiłki, ażeby wprowadzić do literatury pierwiastki ludowe. U Eötvös w dwóch dziełach: „Magyarország 1514 ben“, A „falu Jegyzője“, ośrodkiem poruszanych zagadnień jest chłop węgierski. Na początku XX wieku w twórczości Zajgmonda Móricza, Ady'ego i Deszö Szabó powtarza się stale refren: chłop węgierski.

VI.

Cała literatura węgierska jest jedną wielką balladą, której bohaterem jest Toldi Miklos, wyrzeźbiona postać Janosa Aranya, niezniszczalny, żywotny madziar. U Katona, u Eötvös, u Arany, czy też Tolnay lub Deszö Szabó, powraca on stale coraz to w innej postaci.

VII.

Literaturę węgierską cechuje niezwykle silny dynamizm z takim występują w niej wartości duchowe. U niektórych pisarzy właściwość ta występuje z tak wielką siłą, jaką rzadko spotykamy w literaturze obcej. Madziar jest z natury silny i subtelny i zawsze męski. Toteż i literatura węgierska jest wybitnie męska. Żywiołowa siła, a jednocześnie subtelna delikatność charakteryzują duszę ludu i przejawiają się jaskrawo w twórczości ludowej — spotykamy je zarówno w piosenkach żołnierskich, jak i w erotykach. W twórczości ludowej zarówno jak i w wykształconych dziełach poetyckich spotykamy głęboko zakorzeniony kult macierzyństwa, rzadko występujący w literaturze światowej w takiej mierze.

VIII.

Niezależnie od tego, czy literatura madziarska wyraża siłę, czy delikatność, czy jest smutna czy wesoła, nie jest nigdy senty-

mentalna, Sentymentalizm jest właśnie tym czynnikiem, który wyodrębnia literaturę węgierską od niemieckiej. W literaturze węgierskiej odnajdujemy głębokie zrozumienie duszy własnej oraz ludów zachodnich. Treść liryki jest bardzo różnorodna. Uczucia nie są nigdy przedstawione w sposób prosty, wyrażone są zawsze przy pomocy obrazów i wizji, a najczęściej czynów. Mistrzowsko odmalował to w jednym ze swoich poematów wielki Petöfi: pasterz jedzie do domu na osła, do swojej ukochanej, która jest umierająca. Przyjeżdża jednak za późno, gdyż w międzyczasie narzeczona umarła. Wówczas pasterz w poczuciu własnej bezsilności uderza z całej siły osła, chcąc wyładować swoją boleść. Ten sposób wyrażania uczuć jest bardzo charakterystyczny dla całej prozy i poezji ludowej.

IX.

Na zakończenie pozostaje jeszcze kwestia języka. Język węgierski jest może w terminologii naukowej i urzędowej niezbyt precyzyjny, w ręku poetów jednak staje się on czułym i bogatym instrumentem. Jest on najbardziej dynamiczny z pośród wszystkich języków europejskich. Stworzył go lud i stamtąd przeszedł on w dziedzinę twórczości literackiej. Niestety, trudny do opanowania przez inne narodowości, przyczynia się do tego, że literatura węgierska jest mało na ogół znana i dzięki temu często fałszywie zupełnie przedstawiana.

X.

Bez przerwy prawie powtarzającym się refrenem moim było słowo: chłop. Jest on tą życiodajną Humus, pierwiastkiem, który nadaje piętno i koloryt literaturze węgierskiej. „La literature c'est l'affaire du paysan hongoris“ — literatura jest dziełem chłopca węgierskiego. Przez długie stulecia barki jego ugięły się pod wielkim ciężarem, ale znosił to cierpliwie. W śmiertelnie nieraz znużonym ciele tkwił duch niespożyty, który pobudzał i utrwalał życie kulturalne Węgier. Jego świeża czerwona krew krążyła z taką siłą, że była niewyczerpanym źródłem dla sztuki i wiedzy. On to — prastary gmach kultury narodowej, pozwalający wierzyć w nieśmiertelność i niezniszczalność węgierskości.

XI.

Skierowanie uwagi na sztukę ludową i sięgnięcie do tego twórczego źródła zawdzięczamy człowiekowi, który odegrał wielką rolę w kraju po nieszczęśliwym traktacie w Trianon. On wychował całe nowe pokolenie, stwarzając dlań nowy pogląd na życie i otwierając oczy na sprawy ducha. Dezsö Szabó był tym, który uczył unikać starych błędów. Dzięki niemu Endra Ady potrafił znaleźć drogę do duszy młodych. W twórczości swojej doskonale sharmonizował nowe europejskie prądy i formy z pierwiastkami na wskroś węgierskimi. Oprócz nich dwóch występuje również Gyula Szekfü,

który był równie, jak Deszö Szabó, nowoczesny w 1918 roku. On ukazał jak gdyby nową rzeczywistość. Twierdzi, że wszystko, co widzimy, jest w gruncie rzeczy inne i opiera się na innych czynnikach, niż nam się to wydaje. Odkrywa on przed czytelnikiem prawdę kryjącą się między liniami. Każdą trudniejszą sprawę stara się wyjaśnić jako problem wylaniający się przed artystą. Właściwie jest on historykiem kultur. Przy sposobności należy wspomnieć, że jego wielkie dzieło, historia Węgier, na pierwszy plan wysuwa kwestię chłopską, pozostającą dotychczas w cieniu. Na jego dziełach wychowała się nowa generacja, która zupełnie inaczej zaczęła rozumieć historię i problemy węgierskie, wyrobiła sobie nowy pogląd na życie i zaczęła pisać w sposób odrębny od przyjętego dotychczas.

XII.

Deszö Szabó zwrócił uwagę na lud, Guyla Szeffü zaś wskazał na historię. Dzięki nim dzisiejsza literatura może poszczycić się tyłoma książkami, które podkreślają właściwą i istotną rolę czynnika ludowego. Pisarze poruszający kwestie społeczne, udają się do wsi i tam przyglądają się życiu chłopów. Dzięki temu odtwarzają oni życie chłopów nie jak coś obcego i nieznanego, lecz w całej prawdziwości. W ten sposób nieprzeczuwane dotychczas wartości i nieodkryte myśli stały się teraz nowym składnikiem kultury węgierskiej. Przyjęte to było nie tylko wśród pisarzy domorosłych, lecz w najszerszych kregach literackich. Spotykamy się z tym również w literaturze pod czeskim zaborem, w Siedmiogrodzkim, Boduálckim, we wszystkich krainach naddunajskich, dawniej należących do Węgier. Z geograficznego punktu widzenia współczesna literatura węgierska składa się z następujących części: literatura z części Erdély (Siedmiogród), z Feldevék, (górne Węgry), Bodualska i budapesztańska. Pisarze z ostatniej części pochodzą jednak przeważnie z poza Budapesztu.

Deszö Szabó i Szeffü Guyla sprawili, że dzisiaj tak chętnie pisane i czytane są powieści historyczne. Szczególnie ulubionym tematem pisarzy z „Erdély“ (Siedmiogród), na czele jest historia, gdyż ułatwia nawiązanie dzisiejszych ciężkich czasów do przeszłości. Tematy te są bardzo bliskie sercu Węgra. Pisarze dzięki nim powracają do gleby madziarskiej, z której tak często wyrastały wartości ogólnie - europejskie, ale która przede wszystkim zrodziła największych madziarów. Famosi, Unjerö, to czołowi powieściopisarze tej grupy.

Kto pismu dobrze życzy, ten je prenumeruje.

PRENUMERUJ CIE S K A W E!

FRYDERYK NIETSCHE

O CZYTANIU I PISANIU.

(Fragmenty z dzieła „Tak powiedział Zarathursa“)

Z wszystkiego, co pisane, lubię czytać tylko to, co kto pisze własną krwią. Pisz krwią, a dowiesz się, że krew to duch.

Nie jest to łatwa rzecz wyrozumieć cudzą krew: nienawidzę próżnujących czytelników.

Ten, kto czytelnika zna, nic dla niego nie uczyni. Jeszcze sto lat czytelników — a cuchnąć będzie sam duch.

Ze każdemu człowiekowi wolno uczyć się czytać, to z czasem psuje nie tylko czytanie, lecz i myślenie.

Niegdyś duch Bogiem był, potem stał się duch człowiekiem, a teraz gotów się jeszcze stać pospółstwem.

Kto pisze swe myśli krwią, nie chce, żeby go czytano, lecz uczono się na pamięć.

W górach ta najbliższa droga wiedzie od szczytu do szczytu, ale do niej potrzeba długich nóg. Myśli mają być szczytami, ci zaś, do których się mówi, ludźmi wielkimi. wyrosłymi.

Powietrze rzadkie i czyste, w pobliżu niebezpieczeństwo, duch zaś jest pełen wesołej złośliwości: tak jedno zgadza się z drugim.

Chcę mieć figlarne krasnoludki wokół siebie, bom odważny. Odwaga płosząca widma sama sobie widma stwarza, — gdyż odwaga chce się śmiać. Ja już nie czuję tak, ja wy: chmura, którą mam pod sobą, ta czarność i ta ciężarność, która budzi we mnie śmiech, — to właśnie jest wasza chmura groźna burzą.

Wy podnosicie wzrok do góry, gdyż chcecie w górę się wznieść, ja zaś zwracam oczy w dół, ponieważ jestem wysoko.

Kto wśród was może wraz śmiać się i być wysoko?

Kto po najwyższych górach kroczy, śmieje się z ponurych fars i smutnych życia widowisk.

Bez troskliwymi i szyderczymi i gwałtownymi; — takimi chce was mieć mądrość: wszakże jest ona kobietą i miłuje zawsze tylko wojowniaka.

Powiadacie mi, że życie niełatwe jest do zniesienia. Ale po cóż mielibyście przed południem swoją dumę a wieczorem swą uległość?

Życie jest trudne do zniesienia: ależ nie bawcie mi się w rozpieszczonych! Myśmy wszyscy przewybornie juczne osły i oślice!

I cóż my mamy wspólnego z pączkiem róży, co drży wtedy, gdy nań padnie kropla rosy?

To prawda: kochamy życie nie dlatego, że do życia, lecz dlatego, że jesteśmy przywykli do miłowania.

Zawsze jest trochę szaleństwa w miłowaniu. Ale też zawsze w szaleństwie jest trochę rozumu.

I mnie też, co życiu sprzyjam, wydaje się, że motyle, bańki mydlane i ludzie tego samego pokroju, najwięcej wiedzą o szczęściu.

Widok tych lekkich duszyczek głupiuchnych, strojnych, ruchliwych, bujających po powietrzu, — do łez pobudza Zaratustrę i do pieśni.

Ja wierzyłbym tylko w Boga, który tańczy.

A gdym ujrzał mego diabła, spostrzegłem, że jest ponury i gruntowny, głęboki i uroczysty; był to zaś duch ciężkości, przywodzący wszystkie rzeczy do upadku.

Nie gniewem zabija się, jeno śmiechem. Hej, zabijmyż tego ducha, który jest duchem ciężkości!

Kiedym się nauczył chodzić, zabrałem się do biegania. Gdym się zaś nauczył latać, nie potrzeba mnie dopiero popychać, bym ruszył z miejsca.

Teraz lekki jestem już, teraz wzlątuję do góry, teraz widzę się pod sobą, teraz tańczy przeze mnie jakiś Bóg.

Tak powiedział Zaratustra.

* * *

O ŚMIERCI Z WOLNEJ WOLI.

Wielu umiera za późno, a niektórzy znów za wcześnie. Obco brzmi jeszcze nauka: „Umrzyj w porę!“.

Umrzyj w porę: tak naucza Zaratustra.

Chociaż, kto nie żyje w porę, jakże by miał kiedykolwiek umrzeć w porę? Lepiej, żeby się nie rodził! — Tę radę mam dla zbytecznych.

Wszelako i ci zbyteczni wielce sobie śmierć swą ważą: nawet najpućiejszy orzech chce jeszcze, by go rozłupano.

Poważnie biorą śmierć wszyscy, choć śmierć nie jest jeszcze świętem. Jeszcze się ludzie nie nauczyli, jak święcić najpiękniejsze święto.

Ja wam wskazuję śmierć spełniającą, która dla żywych staje się bodźcem i ślubowaniem.

Swą śmiercią umiera człowiek spełniający i zwycięski, w otoczeniu ślubujących i cieszących się nadzieją.

Tak umierać powinni się ludzie uczyć; i nie powinno być święta, gdzieby tak umierający nie uświęcał przysiąg żywych!

Tak umierać jest najlepiej; drugą zaś rzeczą jest umierać w walce i roztrwonić duszę wielką.

Ale jest znienawidzona na równi przez walczącego, jak zwyciężę wasza śmierć szczerząca zęby, skradająca się jak złodziej, — choć przychodzi jako pan.

Ja chwalebę wam moją śmierć, wolną śmierć, która przychodzi mnie brać, gdy ja chcę.

tłumaczył z oryginału

JAN DOROZIŃSKI

JANINA BRZOSTOWSKA

ZA LAT MILIONY

POWIEŚĆ.

O tym wszystkim Stan nie myślał. Zbyt dawne to były czasy, a od słuchania wykładów historii rozwoju człowieka, które zresztą bardzo go w swoim czasie zajmowały, także dzieliło go już lat kilka... Zatrzaszczyła się jednak Ilena. Pamiętała że tuż po letnich wakacjach przypadają Święta Przekazywania Życia — Stan, sądząc z rozmowy, zapewne jeszcze nie weźmie w nich udziału. Może dopiero z ukończeniem 32 roku, w którym to wieku wszystkich młodych ludzi obowiązuje uczestniczenie w Święcie?

Stan był najmłodszym synem Ileny — po nim nie miała już dzieci, i przeszła do kobiet tylko zawodową pracą wychowawczą zajętych. Stana kochała bardzo — zawsze lubiła jego obecność. Poza godzinami posiłku nie często jednak mogli się widywać, choć Stan jako już dorosły posiadał mieszkanie obok mieszkań obojga rodziców. Każde z nich miało dużo pracy, a chwile wypoczynku musieli, jak wszyscy, spędzać najczęściej samotnie, bo tylko wtedy naprawdę dawały organizmowi wytchnienie. Zato czas poświęcony rozrywkom nieraz dzielił razem z nimi.

Rodzina w tym czasie nie przestała istnieć, mimo że dzieci, szczególnie młodsze, ze względu na oszczędzanie i nie rozpraszanie siły roboczej człowieka, oraz na konieczność niezwykle troskliwej i fachowej opieki, do której najczęściej własne ich matki przygotowywano, musiały wychowywać się w specjalnych zakładach. Uczucia rodzinne, szczególnie rodzicielskie, były w tym okresie czasu bardzo rozwinięte, silniejsze niż kiedykolwiek.

Obiad dobiegał końca. Mechanizm obsługujący podawał kolejno kilka doskonałych i odpowiednio dla każdego z przybyłych dobranych potraw. Zajadano smacznie, bez muzyki, tej nikt przy obiedzie nie pragnął, choć niegdyś niektórym ludziom właśnie przy jedzeniu wielką sprawiała przyjemność. Nerwy człowieka, niesłychanie już wysubtelnione przez tysiąclecia kultury, bardzo wrażliwe i drażliwe, muzykę znosić były w stanie tylko w małych dawkach, nie hałaśliwą i rzeczywiście piękną, bardzo, jakby przed wiekami powiedziano „klasyczną” — a już w każdym razie nie przy jedzeniu.

Pozatem nie miała muzyka w życiu człowieka tej ważnej roli, jaką spełniała przed wiekami. Ludzie niewiele i rzadko się nią zajmowali. Zastąpiły ją sztuki bardziej konkretne, więcej przez starszego niż przed wiekami człowieka uwielbiane. Jakby właśnie w głębszym do delikatności jego ciała pozostające kontraście.

Niegdyś, silniejszy a niejednokrotnie nawet brutalny fizycznie i uczuciowo, uwielbiał eteryczną sztukę: muzykę. Dziś, sam niesłychanie wrażliwy, choć za wszelką cenę pragnący nie tracić swej siły fizycznej, uwielbiał raczej naukę i wiedzę, które dawały mu wszystko, czego brak było jego własnym siłom. Interesował się przedewszystkiem sprawami jak najbardziej realnymi, w rzeczywistości widział największą wspaniałość.

Abstrakt — to były sprawy nawet dla dzieci już nie pociągające — przecież właśnie rzeczywistość dawała mu moc skrzydeł, nawet na dalekie światy przenieść go zdolnych. Czyż to nie była najwspanialsza ze sztuk?

Ale wracajmy do obiadu. Pożywienie było bardzo różne od tego, jakie przed tysiącleciami utrzymywało człowieka przy życiu, zasadniczy jednak materiał, z którego potrawy były przyrządzane, musiał pozostać ten sam.

Podstawowe dania stanowiły korzenie, liście, kwiaty i owoce najrozmaitszych drzewek, krzewów i roślin, tak obficie na terenach dziedziny zamieszkałych rosnących, wraz z dodatkami przetworów wyrabianych z mleka żyjących jeszcze zwierząt, sera i masła. Potrawy te dostarczały organizmowi ludzkim najważniejszych środków odżywczych w stanie naturalnym — co było tak bardzo ważne.

Mięsa mordowanych zwierząt nie jedzono wcale. Dawniej — o! dawniej ludzie mordowali zwierzęta, krajali je ćwiartowali, siekali — potem piekli, smażyli w tłuszczach, gotowali i pożerali! Brz!! Strach pomyśleć.

Później znów, w wiele wieków potem próbowali żywić się samymi tylko środkami sztucznymi, robili odpowiednie doświadczenia na jednostkach, które dobrowolnie, dla wiedzy, zgadzały się odżywiać tylko środkami chemicznymi, jakimiś kostkami kondensowanych preparatów spożywczych...

Ale wkrótce okazało się, że przewód pokarmowy ludzi w ten sposób żywionych wyrodniał, chorował i tworzył w kiszkiach zrosty, zwęzłał się i kurczył. Okazało się, że ludzie musieliby bardzo prędko i to w męczarniach wyginać, gdyby byli zmuszeni tak się odżywiać. Pożywienie jaknajbardziej naturalne — to było jedynie dobre dla człowieka.

Ogłoszono po raz wielotysięczny — nawrót do przyrody... w tym wypadku do naturalnych pokarmów. Jaknajwięcej przyrody, i to teraz, właśnie teraz, gdy odwracała się od człowieka, a raczej zobojeźniała, na zamarłej ziemi, tylko swe groźne ukazywała mu oblicze. Nawet rozrodczość ludzi, i tak dziś bardzo mała, wygasłaby dawno zupełnie, gdyby nie naturalne potrawy, bo właśnie pewne ich witaminy ją zachowywały.

Człowiek, jeżeli chciał istnieć, musiał podtrzymywać niejako praca tej natury, która go na świat wydała, i wszystkie jego władze zmysłowe rozwinęła, fizyczne i umysłowe. Nawet wyniszczenie zmysłu smaku, przy sztucznym jedynie odżywianiu, byłoby przeciw jej odwiecznym prawom.

Musiano też pozatem wrócić do pożywienia obfitszego, aby kiszki nie kurczyły się, aby człowiek wraz z nimi nie nignął i nie zmniejszał się, aby mogły w należyty sposób wykonywać swe czynności trawienne, aby pracowały. Tylko dostarczanie im właściwego materiału do pracy mogło zapewnić ich należyte funkcjonowanie, wzamian za co utrzymywały cały organizm przy życiu.

W tej chwili nikt przy stole nie kłopotał się o te sprawy. Naraz niegłośnie gwar, który panował na sali wzmógł się nieco. Weszły kilka młodych dziewcząt — spóźniły się mocno.

— Jak to dobrze że jesteś, Stan! zawołała jedna z nich, zobaczywszy Stana z daleka. Nie widziałam cię z nami, i nie wiedziałam gdzie się podziewasz?

Jestem, jestem... spokojnie oświadczył Stan.

Ilena spojrzała przyjaźnie na dziewczynę. Widocznie ma dla Stana trochę przyjaźni, skoro zatroszczyła się o niego...

— To koleżanki z naszego zastępu, powiedział Stan do matki.

— A ta dziewczyna?

— To — Senna...

* * *

Lekki samolot złożył na tarasie mieszkania Olfa naprawiony i odświeżony leżak Wili. Przed godziną, jeszcze zanim przyszła, Olf telefonował do zakładu odświeżania mebli, że leżak stał się niewygodny... Natychmiast zabrał go samolot Odświeżalni, i teraz już przywiózł z powrotem, naprawiony i odnowiony.

Była to epoka sztucznych metali, to też leżak, jak wszelkie współczesne meble zrobiony był z lekkiego metalu zwanego „ciepłym”, bo odpowiednio przetopiony nie ziębił, jak wszystkie inne rąk przy dotknięciu.

Wypoczynkowy taras przed frontowymi drzwiami mieszkania Olfa pięknie był urządzony, i rozległy przed nim rozciągał się widok na leśną część parku szkolnego. Wila ilekroć przychodziła do Olfa lubiła na nim wypoczywać, rozmawiać... Olf był jej mężem.

Zapałał już zmierzch, i Olf powstał — musiał iść do pracy przy służach powietrznych, których był strażnikiem. Nie bardzo chciał mu się wychodzić, ale obowiązek...

— Doskonale spędziliśmy dzisiejszy wieczór — mówiło jego spojrzenie, gdy żegnał Wilę.

Nie potrzebował jej tego mówić słowami. Ludzie teraz, bardziej siebie samych świadomi, posiadali charaktery zwartsze, dobrze rozwinięte i w tym czy innym kierunku ustalone — umieli więc bez słów się porozumiewać, nie sprawiało im to żadnego kłopotu.

Dla pradawnych ludzi było to trudne. Umystowości ich i charaktery były galaretowate jakby, niepewne, musieli być zagadkami nie tylko dla innych ale i dla samych siebie nawet, bo nic w nich nie było ustalone. Można by powiedzieć, że właściwie wszyscy wówczas, poza niesłychanie rzadkimi wyjątkami, mieli umyśle i charaktery niedorozwinięte, nie zupełnie wykształcone.

Prostu praca przyrody nad nimi jako gatunkiem „homo sapiens” nie była jeszcze skończona, stała dopiero na pewnym, niewysokim zresztą poziomie, i człowiek też jeszcze tym samym nie wysoki osiągnął stopień rozwoju. Żadna cecha charakteru nie była w nim dostatecznie zdecydowana. Jakże ludzie mogli przy takim stanie rzeczy pewni być sobie wzajem, rozumieć się — gdy niewiele jeszcze było do rozumienia — wszystko bowiem znajdowało się jakby w stadiu płynnym, i człowiek, który dziś na przykład okazał się taki a taki, jutro wydawał się zupełnie inny, bo właściwie ani taki ani inny nie był naprawdę. Nie był jeszcze żaden — jako indywidualność.

Teraz ludzie mogli być wzajem pewni siebie, bo znali się wzajemnie dobrze i rozumieli, nawet gdy pierwszy raz się spotykali. Niegdyś nawet najbardziej zakochani byli dla siebie zupełnie zamknięci, jedno drugiego nie mogło myślami przenikać — nie do przebycia było to odosobnienie, które człowieka od człowieka dzieliło. Nawet geniusze nie mieli dokładnego obrazu myśli i uczuć swych bliźnich.

Teraz ludzie świadomi siebie samych doskonale, byli też świadomi i innych. Mieli przy tym o wiele czynniejszy mózg i więcej jedni drugimi życzliwie się interesowali, byli prawdziwymi altruistami, nie żyli w egoistycznym jednostkowym czy rodzinnym odosobnieniu. Przy tym i intuicję mieli wspaniałą.

Zresztą i inne jeszcze powody pozwalały ludziom na tak wygodne porozumiewanie się bez słów — ale o tem potem...

Olf rozejrzął się jeszcze po miłym tarasie, który ofiarował mu już nie jedną chwilę wypoczynku, i wyszedł.

Mrok coraz głębszy ogarniał ziemię — nastąpiła noc. Olf podniósł głowę, i nad ulicą, przez przejrzysty szklany strop, doskonale czysty, bo odpowiednie maszyny nieustannie nazewnątrz i zewnątrz czyściły jego powierzchnię, dojrzał gwiazdy na granatowym tle otchłani. Przejął go nagły dreszcz. Oto poza tym szklanym i mocnym, nawet ciężkim meteorytom nie dającym się rozbić sklepieniem przeraźliwy mróz obejmuje ziemię. Nie ma na niej poza jego zasięgiem życia, nie ma ruchu — choć sama pędzi jeszcze, niewiedomo poco swą tajemniczą drogą.

Niekiedy zdarzało się Olfowi, strażnikowi śluz oddzielających tę lodowate przestrzeń ziemi od życia tlejącego na niej nikłym płomykiem, że zamyślił się nad dziwnością swojej ojczyzny — ziemi.

Nie, człowiek nie stawał się nieudolny w miarę upływu wieków. Rosnąca moc umysłu dawała wyraz siły jego dziełom i wspaniałej wiedzy, która nie tylko czyniła go zdolnym do ogromnych wysiłków myśli, nie tylko, mimo niewielkich sił fizycznych przedłużyła jego życie, ale i samej śmierci na zamarłej ziemi wyrwała, samej zatracie...

Olf rozejrzął się dokoła.

Choć szedł szybko, aby trochę rozruszać mięśnie zanim wsiądzie do samolotu, znajdował się jeszcze w tej okolicy miasta, w której mieszkał wraz z Wilą. Tylko domy stały tu nieco gęściej, przewiewne i obszerne, o ścianach barwiących się zmiennie, zależnie od pogody i woli mieszkańców.

Lecz tych mieszkańców było niewielu. Niekiedy nawet zdarzało się że całe długie i szerokie kompleksy budynków stały pustką...

Dawniej zamieniano je na muzea, obszerne pracownie — dziś zosławiano poprostu każdemu z mieszkańców dowolną ilość pokoi w największym nawet mieszkaniu (był przecież tych mieszkań nadmiar) do rozporządzenia według wszelkich zachcianek, czego nikt nie nadużywał, bo nie było wygodnie posiadać przesadnie rozległe mieszkania, i ludzie raczej skupiali się blisko siebie, czy bliżej miejsc swej pracy zawodowej. Nieraz n. p. rodzina zajmowała kilka obok siebie położo-

nych lokali, aby nie czuć się zbyt samotnie. O resztę się nie troszczono — nie było na to czasu, ani ludzi.

Rzadko tylko domy bardziej zniszczone w miarę sił przynajmniej częściowo rozbierano i gruz wyważono i wyrzucano za pomocą samoczynnych dźwigarów poza dziedziny zamieszkałe. W ten sposób zyskiwano więcej przestrzeni na parki łien przerabiające i wolne perspektywy, tak miłe dla oczu. Na trwalszych znów czy w ogóle niezniszczonych budynkach zakładano małe plantacje niektórych mniej wymagających roślin — w ten sposób powiększano przestrzeń ogrodów o wyższe kondygnacje.

Nowych domów nie budowano wcale od dawna. Wystarczyło konserwowanie starych, nieraz niestychanie trwałych i mocno zbudowanych. Jeśli zaś kto miał czas i ochotę, mógł je w razie potrzeby przerabiać dla swych celów.

Czyste powietrze, które wdychał Olf, pachnące nocą, lekko teraz wilgotne od ros wieczornych, zestanych na wszystkie rośliny, zupełnie pozabawione było kurzu. Nigdy Olfowi nie przyszłoby na myśl ile to woni obrzydliwych i szkodliwych dla zdrowia wdychali ludzie w dawno minionych czasach.

O tej porze trawy i krzewy lśniły szmaragdowo w niejaskrawym już świetle lamp wieczornych, które torowały nielicznym przechodniom drogę. Oczywiście — człowiek gdyby chciał, mógłby urządzić sobie dzień także i w nocy, ale ludzie doskonale byli świadomi, że lepiej wypoczywają i lepiej śpią, gdy nie otacza ich jaskrawe światło, które niepotrzebnie pobudzałoby ich żywotności swym chemicznym działaniem.

Nie należało go nadużywać. Organizm zmuszony do czuwania w nocy zbyt prędko by się zużywał, i na tego rodzaju zużycie nie pomogłyby żadne środki przedłużające życie czy wzmacniające.

Olf szedł teraz brzegiem szerokiej rzeki, lekko lśniącej w mroku i szemrzącej w omszałym korycie. I pod nią, jak wszędzie kryła się sieć rur ogrzewających, gęsto rozgałęzionych. Dzięki nim w rzece istniał ruch, roiło się w dzień od mnóstwa dziwacznych ryb, których ze wszystkich zwierząt kręgowych było teraz na ziemi najwięcej, gdyż najłatwiej je było chodować, podczas gdy liczba zwierząt lądowych zmalała ogromnie.

Łożysko, w które tę rzekę, największą i najpiękniejszą z rzek dziedziny zamieszkałych ujęto, w wielu miejscach było nadszarpięte przez czas, zniszczone. Pochodziło z epoki pierwszych, niezupełnie jeszcze niezniszczalnych plągranitów. Nikt go nie naprawiał, — ludzie potrzebni byli do pilniejszych spraw, do utrzymywania samego życia, nie do zachowywania w niezmiennym stanie jego mniej lub więcej pięknych akcesoriów. I tak było ich dość.

Zresztą rzeka nie traciła przez to, że jej łożysko było nieco skruszone — może nawet dlatego wydawała się bardziej urocza? Przetrwano wiele jeszcze lat, prawdopodobnie przetrwano nawet ludzi na tej ziemi, i jej ruchliwy bieg... Mocno i dobrze budowane były jej bulwary, jak wszystko co robiono się od czasów, gdy ludzie przestali dbać o ego-

istyczne interesy na pracy i wyzyskiwaniu bliźnich oparte.

Teraz ciemna rzeka szumiąca głośno. Płynęła z lodowca, ustawicznie ogrzewanego na samej granicy dziedzin zamieszkałych.

Olf szedł, rozglądając się, jakby po raz pierwszy był w tych stronach.

Ruch na ulicach był o tej porze bardzo mały — od czasu do czasu nad dachami niewysokich domów przelatywały cicho małe samoloty poruszane niepalną energią, ulicami przebiegały samochody niewydające żadnych wyziewów, pewne w użyciu.

Minął wielki dom „Poprawy robotów“, w którym w razie jakiegoś defektu usprawniano doskonałych pomocników człowieka, uległych specjalistów maszynowych: nauczycieli ćwiczeń fizycznych i sportów, umiejętnie prowadzących lekcje gimnastyki, niemęczącej, raczej wzmacniającej, bardzo lubianej, oraz o wiele mniej znajdującego adeptów tańca. Taniec bowiem, choćby najpiękniejszy, dla współczesnego człowieka był może zbyt pierwotną formą wyżywiania się ruchowego?

Naprawiano tu także maszyny uczące śpiewu, bardzo rzadko zresztą, bo ludzie mieli bardzo delikatne struny głosowe, i sił nie tak wiele, aby mogli śpiewać czy mówić dłużej nad kilka minut... I inne jeszcze gatunki robotów, n. p. podające do stołu, uczące, niestetyhanie rzadko, gry na rozmaitych instrumentach, pracujące w fabrykach...

W tej chwili nikt już w „Poprawie“ nie pracował. Dom stał cichy, zamarty. Nikt też bowiem, prócz dziwacznych figur i maszyn w nim nie mieszkał.

Wzdłuż chodników pasy murawy lśniły słabym połyskiem. To od tej zrzuconej na nie pierwszej rosy... Rzędy giętkich drzew bujnych jeszcze ale skarłatych potomków dawnych wspaniałych i pięknych olbrzymów, wydawały mocny zapach. Trwał w nich dotąd ten rozpęd żywotny, który im dała niegdyś przyroda. To on po dziś dzień wyprowadzał z ziarn nowe liśćmi okryte, kwiczące się i owocujące istnienia...

Teraz Olf przechodził przez świętny plac „Gwiazdy dróg ludzkich“. Stąd, ulicami biegnącymi jak promienie gwiazdy wprost przed siebie, z tego środka dziedzin zamieszkałych, można było pójść daleko, aż wgłąb puszczy leśnych, sięgających samej „Alei Krańca“, nazwanej tak, bo już tylko trzy grube szklane ściany oddziały ją od lodów ziemi.

Między tymi ścianami szły jedynie szerokie kurytarze, okrążające zamieszkały obszar, nie było w nich już roślin ani zwierząt, i ludzie spragnieni przechadzek niechętnie tu docierali. A i ci co przychodzili, bardzo byli zamyśleni...

Kurytarze służyły raczej strażnikom i uczonym do celów obserwacyjnych. Natomiast drogami i ścieżkami wśród lasów i ogrodów, bardziej do zarosłych puszczy podobnych, lubili ludzie w chwilach wolnych od pracy wędrować, nie spiesząc się. Życie zawsze, i teraz jeszcze, gdy trwało seiki łat, było zbyt krótkie, by warto je było trwonić na pośpiech gwałtowny, nie pozwalający odczuć ani zrozumieć chwil przeżywanym, przeciętnie, unicestwiający je. Nie marnowało się, nie „zabijało“ ani chwili czasu daremnie.

Jeśli wypoczynek, to wypoczynek, choćby długi, ale pełen samowiedzy i radości. Jeśli praca, to praca, a nie marnowanie czasu na jakieś czekania, zwlekania! O, te wyczekiwania na przystankach tramwajowych i autobusowych w zamierzcztych wiekach! te godziny, lata życia zmarnowane, ani radości ani pracy nie poświęcone. „Zabite”!

Po drodze zmęczeni wędrownicy każdej chwili mogli wypocząć w doskonale urządzonej domach wypoczynkowych, stojących dla wszystkich otworem, a gościnnych najżyczliwiej.

Możnaby zapytać dlaczego było tu tak wiele, może aż za wiele w stosunku do niewielkiej ilości żyjących jeszcze ludzi, tych ogrodów, lasów, zieleni? Otóż na wszystkich tych obszarach istniały jakby małe rezerwały, ogrody i parki opuszczone przez śmierć swych właścicieli.

Dotychczas bowiem jeszcze każdy z mieszkańców dziedzin zamieszkałych miał swój kawałek ziemi prócz parków i ogrodów wspólnych. Otrzymywał go już w najwcześniejszych latach życia, aby mógł na nim bez przeszkody zapoznać się z życiem zwierząt i roślin, a także, by miał w nim miłe miejsce dla zupełnie swobodnego, samotnego i spokojnego wypoczynku.

Te kawałki były zupełnie jednakowej wielkości dla każdego człowieka. Każdy wprawdzie mógłby sobie więcej dobrać gdyby chciał, ale nikt z tej możliwości nie korzystał. Przeciwnie, coraz liczniejsze były ogrody niczyje, a roślinności ich używano dla wszystkich mieszkańców ziemi, czy jako dostarczycieli naturalnych witamin, czy na inne potrzeby...

Ziemi było dość, nawet w tej zamkniętej przestrzeni dziedzin zamieszkałych, często zupełnie nieuprawianej, choć bujnie pod światłem i ciepłem słonecznic zarostej, a ludzi przecież coraz mniej. Nikt tych niczych ogrodów nie pielęgnował ani nie porządkował. Nie można było przydzielać ludzi do zajmowania się nimi, mieli aż nadto ważniejszej pracy, a pozatem strzyżenie trawników, ścinanie gałęzi i tym podobne prace zubożyłyby je tylko. Rosnąc bez zbytej troskliwości drzewka, krzewy i kwiaty były bogatsze, pełniejsze. Każdy młody pęd wart był więcej niż wszystko złoto ziemi. Był dowodem i przejawem trwającego na niej jeszcze życia. I każdy poza pracą, jaką spełniał, przyczyniając się do ustawicznego odnawiania cząsteczek powietrza, był źródłem najważniejszych składników pożywienia człowieka, utrzymywał go przy życiu.

Za to człowiek przygotowywał dla nich pod dostatkiem nawozu, dostarczając im w ten sposób wzajemnie pożywienia mineralnego i organicznego.

Olś przystanął. Pięknie było dokoła niego. Ale piękno to było olbrzymim zdobyte trudem. I było tylko naśladownictwem, choć bardzo udatym, dawnych, naturalnych uroków ziemi. Było życiem, utrzymaniem wolą człowieka na małej zaledwie przestrzeni, pośród lodów zamarzonej ziemi.

Ziemia przestała być dla człowieka szczerą dawczynią życia. Gdyby sam nie wydzierał sobie swych praw do niego, gdyby sam ich własnymi nie stwarzał siłami, dawno nie było by go już na ziemi.

Może jeszcze tu, w równikowej okolicy istniałyby na niej jakieś

dziwne, zdolne znieść ogromne mrozy stwory, i może byłoby jej zupełnie obojętne czy to one, czy ludzie deptaliby ją jeszcze.

Człowiek, nieogrzewany swymi słonecznicami nie mógłby żyć... Dlatego czas już najwyższy szukać gościny na cieplejszej planecie...

A czas ten ucieka — zbliża się powoli chwila zupełnej zagłady życia na ziemi. Przepadają, mijają dni, a każdy z nich:

drogi kamień

w naszymyjkę śpiącej Wieczności...

jak pisała przed tysiącami lat w starożytnej Polsce żyjąca poetka. Wieczności — wielkiej niewiadomej, nic może o sobie niewiedzącej, w nieprzerwanym śnie pogrążonej.

Tylko jeszcze gwiazdy od milionów lat stały ziemi jednakowo migotliwe swe lśnienia, podczas gdy powstawał na niej człowiek, gdy tworzyły się i przemijały narody — i teraz, gdy nadchodzi zmierzch istnienia ostatnich ludzi.

Pomyślał Olf o najstarszym swym synu, delikatnym i wrażliwym Arlenie. Przekazał mu wiele swych cech. Ale potomstwa Arlen już mieć nie będzie. Zało młodszą od niego Waa, to dzielna dziewczyna, mocna i zdrowa. Ta zostanie matką napewno. Przekaze, jedna z niewielu, dalej życie, które jej dali rodzice. Alia, młodszą od Arlena — w zakładzie dla umysłowo chorych, a najmłodszą córkę Wili i jego, jest jeszcze tak mała... Zaledwie umie się śmiać. Jaka też będzie gdy podrośnie?

(c. d. n.)

SERGIUSZ JESIENIN

L I S.

Strzaskaną łapę włókł — kuśtykał w biegu —
Padł — i przed norą w kłębuszek się zwinął.
(Ślad drzemiącej głowy na śniegu
Krwę się wąską ramką odcinał).

Wciąż słyszał wystrzał — w żrącej dymu chmurze —
I bagna leśne w oczach mu się chwiały.
Z krzaków kosmaty wichur gnał ku górze
I sypał śrut rozdzwonił strzały.

Jak żołą nad nim łachman mgły się miotał,
Wieczór był lepki i niebo rumiane.
— Łeb się podnosił i w trwodze dygotał
I sztywny język zastygał na ranie.

We mgle jak pożar żółty ogon płonął,
Na wargach spiekłych — zgniłej marchwi osad;
Pachniało szronem i gliną paloną,
A z oczu krwawa sączyła się rosa.

tłum. z rosyjskiego
JADWIGA WAŻEWSKA.

SERGIUSZ JESIENIN

PIEŚŃ O PSIE

O świecie, wciśnięta gdzieś w kątek
Za słomy złocistej rogoże,
Siedmioro rudych szczeniątek
Zrodziła suka w oborze.

Do zmierzchu tym samym wciąż ruchem
Lizała im mordki, ciemiączka
A pod ciepłym, miękkim jej brzuchem
Śnieżek stopniały się sączył.

Aż ukradkiem, wieczorną porą,
Gdy przypiecek obsiadły już kury,
Gospodarz jej szczeniąt siedmioro
Do worka zgarnął, ponury.

Biegła za nim przez zaspy białe,
Biegła, dysząc z szybkiego pędu.
...I tak długo, długo się chwiała
Roztracona woda w przeręblu...

A gdy nogi wlokła z powrotem,
Pot zlizując z boków obfity,
Wydał się jej miesiąc nad płotem
Jednym z jej dzieci zabitych;

I w błękitne, podgwiezdne morze
Zaskomliła, zawyła z bólu.
A księżyca wążutki rożek
Mknął i skrył się za wzgórkim, w polu.

I głucho, jak kamień ze świstem
Rzucony szyderczo biedotom —
Psie oczy — dwie gwiazdy świetliste —
W śnieg potoczyły się złotem...

Z rosyjskiego tłumaczyła Jadwiga Ważewska.

ZJAZD PISARZY POLSKICH NA ZAOLZIU

W dniach 4, 5, i 6 marca odbył się na Zaolziu ogólnopolski zjazd pisarzy i artystów. Zaraz wieczorem pierwszego dnia w pięknie ustrojonej auli Szkoły Wydziałowej w Cieszynie Zachodnim odbyła się Akademia powitalna, którą w serdecznych słowach zagaili wojewoda śląski dr. M. Grażyński oraz niezwykle sympatyczny burmistrz miasta Cieszyna R. Hafar, a ze strony przybyłych gości — literatów prezes P. A. L., Wacław Sieroszewski i F. Goetel. Sala z trudem mieściła zgromadzone tłumy, i witała pisarzy i artystów z ogromnym entuzjazmem. Część literacko-artystyczną wypełniły m. in. recytacje fragmentów z Kochanowskiego, Wyspiańskiego, Norwida, Lieberta i Wierzyńskiego.

To był dzień bardziej oficjalny — jak na powitanie przystało. Ale nazajutrz, w niedzielę, i to był napewno dzień najważniejszy, pisarze rozjechali się grupami do Jabłonkowa, Trzyńca, Karwiny, Frysztatu, Cierlicka Górnego i Suchej Średniej, do Bogumina i Orłowej. Przypadł mi udział w grupie, która wystąpiła w Cierlicku (gdzie zginęli Żwirko i Wigura) oraz Suchej Średniej, to też jako naoczny świadek gorącej serdeczności i pilności, z jaką słowa nasze chłonęli tamtejsi słuchacze, muszę stwierdzić, (a mówili to także wszyscy uczestnicy zjazdu), że rzadko zdarza się pisarzowi spotkać z audytorium tak wdzięcznym, i tak żywo a szczerze na twórczość pisarza reagującym jak kulturalny lud Śląska, jego robotnicy i górnicy. Bo też zasób swej kultury czerpią oni od dawien dawna z jędrnych pism Reja, Szymonowicza czy Modrzewskiego i sami o tym mówią, że do dziś tych pisarzy czytają. Jeszcze teraz, w dwudziestym wieku w mowie ich pobrzmiwa piękno staropolskiego języka tych pisarzy — i odzwierciedla się w niej zaciekle a wierna miłość Ślązaków do Polski, bo właśnie ta polska mowa, tępiona w szkołach i w życiu publicznym, w miłości do poważnej starej literatury polskiej pokryjomu czytywanej znajdowała ostoję, w niej się sublimowała. Trzeba pamiętać, i tem bardziej podnieść ważność tego zjawiska, że ziemia ta styka się przecież z pracą od wieków na wschód i coraz dalej wypierająca Słowian falą germańską. Nie zapominajmy bowiem, że nawet Brema, Lubeka, Szczecin i Królewiec to nazwy słowiańskie, że tam gdzie dziś są ostoje germanizmu, my, Słowianie dawniej siedzieliśmy, i zostaliśmy wyparci...

Lecz nie tu miejsce rozwodzić się nad tymi sprawami. Wróćmy do radosnego stwierdzenia faktu, że lud śląski jest rzeczywiście pięknego słowa pisarzy polskich spragniony, ich myśli ciekawy. Gdy po skończonym poranku w Cierlicku wychodziliśmy z natłoczonej sali, jedna ze Ślązaczek, starsza już kobieta, ściskając mi rękę powiedziała: **jeszcze tego mało było jeszczebyśmy was radzi długo słuchali!**

Nie było czasu — musieliśmy jechać do następnych wsi (a piękne te wsi, czyste, zabudowane jak letniska!) gdzie zetknięcie się z ludźmi tamtejszymi było tak samo niezwykle serdeczne, i radości pełne. Nie krótkie sprawozdanie, ale książkę całą i to piękną napisać można o tym naszym zbliżeniu się z Ziemią Załoziańską...

Trzeciego dnia zjazdu odbył się poranek dla młodzieży w Katowicach, w tamtejszym Domu Oświatowym. I to spotkanie z młodzieżą było pisarzom szczególnie miłe. Czuło się z jakim entuzjazmem przyjmuje ona poezję — a występy Juliusza Osterwy, Sochy i Węgrzyna witały prawdziwe huragany oklasków. Muszę zaznaczyć, że nigdy, choć mieszkam w stolicy, gdzie chyba najwięcej jest sposobności do uczestniczenia w uroczystościach literackich, na tak pięknej, tak zajmującej Akademii nie byłam.

Trzeba jeszcze dodać, że wieczory nasze czy poranki urozmaicały wszędzie krótkie wystąpienia miejscowych chórów śpiewaczych, doskonale zgranych i wyćwiczonych znakomicie, oraz w Katowicach — czarujący występ zespołu tanecznego dziewcząt śląskich, które odtańczyły kilka tańców z „trojakiem“ na czele.

Tak więc cały ten najazd pisarzy na Śląsk był serdecznym nawiązaniem pierwszego bezpośredniego kontaktu między przedstawicielami literatury polskiej a najpiękniejszym kwiatem Ziemi Załoziańskiej, jej prastarym, polskim ludem.

Janina Brzostowska.

M. MOROZOWICZ SZCZEPKOWSKA

NOTY Z TEATRU

Teatr Jaracza. Dziewczyna z lasu. Sztuka w 3 aktach Szaniawskiego.

Sztuka dobrze zmontowana. Nikły temat, że Dziewczyna z lasu wróci na głos człowieka lasu, w jego dziką pierwotność, lub kto woli, wołanie seksu jest tak potężne, że przełamie nikłe ścianki ugłaskania i kariery, interesuje widza. Słucha się jej dobrze, zwłaszcza, że podana jest w doskonałej reżyserii Perzanowskiej i wybitnie dobrym wykonaniu całego zespołu z Jaraczem, kapitalnym gajowym, na czele.

Pani Bovary, 37 obrazów Flauberta, w przeróbce Zofii Nałkowskiej.

Ostatnimi czasy pokazano nam szereg powieści w przeróbce teatralnej. Jest to wielki błąd w samym założeniu. Powieść w porównaniu z dramatem, to anatomia w zestawieniu z architekturą. Jakież tu może być równanie i jaki rezultat? Dwa krańcowe świa-

ty nie mające ze sobą nic wspólnego. Anatomia, wiwisekcja, drobiazgowość, częste rozszczepianie wloska na części, to jest powieść, to jej atrybuty. A dramat to faktomontaż, to duże bloki, to rozgrywka na oczach widza, nie opowiadanie i wnikanie. To a k c j a. Po cóż więc przerabiać powieści na scenę? Równie mądre byłoby rozwlekanie lapidarnego i zwięzłego dramatu na trzytomową powieść. Pomyślmy, co za woda byłaby z tego.

Widzieliśmy tych przeróbek z powieści ostatnimi czasy za dużo: Klub Pickwika, Mała Dorrit, Rodzina Whitoaków, Niedobra miłość autorki przeróbki pani Bovary. I w dalszym ciągu brniemy w powieści! Każda przeróbka wychodzi żałośnie, jest jakby ilustracją, często nędznym oleodrukiem, zbrutalizowanym obrazem naszej wyobraźni.

Pani Bovary ciągnie się długo, szablonizuje nam ostatecznie bohaterkę, pokazując ją w maleńkich odcinkach, nużących dla widza i niewdzięcznych dla aktorki. Bo cóż można zrobić w tak krótkich kinematograficznych scenkach, gdy idzie o dramat wewnętrzny, rozgrywający się nie wielkimi gestami, ale znużeniem, nudą, brakiem pionu moralnego bohaterki, rozłożonymi na lata.

Teatr Pani Malickiej dobrze rozwiązał inscenizację tych 37 scen (zasługa Sawana). Publiczność oklaskiwała swoją ulubienicę Malicką gorąco.

Teatr Nowy. Trzy jednoaktówki: Norwida: Miłość czysta u kąpielni morskich.

Delikatna, subtelna, emfaticzna aktówka Norwida. Jest w niej urocza tyrada o cierpieniu miłosnym. Tyrada przypomina nam o wiernej, wielkiej miłości Poety do Kalergis, nieczulej, niewidzącej go, dalekiej, wielkiej damy. I stąd zabłakanie się Poety w świat pozorów, dekoratywności, pustki. Sztuczka jest raczej miłym żartem, pointę znajdujemy w końcowym zdaniu. Widzę ten drobiazgrany tylko w jednym teatrze, niestety za mało czynnym, za bardzo śpiącym, w Reducie. Tam wypieściliby i wyszlifowali ten drobiazgr na klejnot pierwszej wody mimo braku wybitnych sił aktorskich. W Teatrze Nowym wybitni aktorzy zbanalizowali aktówkę mimo pięknych strojów i sztucznych gestów.

Rittner. Odwiedziny o zmierzchu.

Bardzo odważna, doskonale zbudowana i bardzo wnikliwa aktówka. Komuś umarła żona. Przypadkiem wchodzi nie do swojego, lecz do mieszkania sąsiadki, znudzonej śmiertelnie własną pustką, napeężniałej żądzą wyścicia erotycznego, utrzymanką innego mężczyzny. I oto kobieta ta sączy o zmroku w jego uszy kuszenie, emanuje czarami i pokusami swojej pici, zarzuca sieci i ło-wi sobie odrętwiałego jeśli nie z bólu, to z przerażenia po niedaw-

nej konfrontacji ze śmiercią. Ten mężczyzna wróci do niej, jak wraca się z radością do ciepła, kwiatów i słońca z mrocznego świata rozkładu i niebytu. Drastyczny temat kapitalnie ujęty.

Czechowicza jednoaktówka: Czasu jutrzeznego.

Mogła być napisana, ale dlaczego została wystawiona? I to jako czołowy utwór przedstawiciela młodej poezji polskiej?

To by dowodziło, że poezja młodej polski szeleści blachą (wszyscy w tej sztuce mówią napuszenie i niezrozumiale), a jej młodzi adepci nie pokusili się poznać ani struktury dramatu, ani jego logiki, ani konstrukcji. Dziwaczenie pana Czechowicza nie ma nic wspólnego z dramatem. Ot, poprostu wielkie nieporozumienie.

Teatr Polski: Obrona Ksantypy, komedia w 3 aktach, L. H. Morstina.

Poeta L. Hieronim Morstin podjął się szlachetnej obrony kobiety, której imię przeszło do potomności jako synonim swarliwości i złości. Na szczęście zrobił to mężczyzna. Gdyby na pomysł ten wpadła kobieta, pomyślcie ile złośliwości spadłoby na jej głowę ze strony „obozu“ męskiego. Taka już bowiem moda nastąpiła, że panowie nie lubią, gdy kobiety dobrze piszą. A piszą dobrze. Nie tylko u nas. Zagranicą urasta coraz jakieś nowe wielkie nazwisko. Dziwaczna jest niwa życia. W dobie skłócenia narodów, okrucieństw, zbrojeń, w dobie kiedy świat to jeden wielki obóz zbrojny, gotów każdej chwili do podjęcia morderczej walki, po której, nie łudźmy się, ludzkość wróci do stanu cywilizacji jaskiniowej, w dobie, gdy po krótkotrwałym sukcesie zdobycia sobie równouprawnienia, twarde warunki życia z powrotem zagnają kobietę do jej zadań biologicznych, ślepo ograniczają jej rolę do kręgu ogniska domowego (czytaj blacha kuchenna), w tej właśnie dziwacznej dobie występują jakby na umówiony znak talenty kobiece. Wymieńmy choćby kilka: Sygryda Undset (ta największą z wielkich), Jo van Ammers-Kueller, Colette, Mazo de la Roche, Helen Smith, Gracia Deledda, Pearl Buck, Rozamonda Lehman, Mitchel, Vicki Baum, Marta Ostenso i wiele, wiele innych. Ten bukiet wspaniałych różnorodnych talentów i temperamentów kobiecych utwierdza nas w nadziei, że kobieta w przyszłości zrozumie swoją rolę indywidualną i twórczą i potrafi ją wyzyskać i utrwalić w życiu społecznym, zbiorowym, jak utrwaliła ją dzięki swym zdolnościom w literaturze. Nie zapominajmy, że każdy zmierzch wyprzedza jutrznię i dzień, tylko nie trzeba się dać pochłonać nocy.

Tak więc L. H. Morstin podjął obronę i obronił tak bardzo pokrzywdzoną w legendzie ludzkiej Ksantypę. Pokazuje nam ją zapracowaną w domu, właśnie przy ognisku, gdzie gotuje strawę, użera się z niewolnikami: nierobem, pyskaczem i wałęsającą się za chłopami dziewczką (jeśli wszyscy niewolnicy byli takimi w starożytności, to topnieje wyobrażenie o ich okropnym życiu). Ksantyp-

pa jest piękna i młoda, inteligentna, widząca doskonale wady swoich współczesnych, życie rozwiąże i wesołe, a przecie wierna jest swemu mężowi, Sokratesowi, choć nie jest ani piękny, ani specjalnie się nią interesuje, oddany swoim wielkim dyskursom z otaczającymi go młodzieńcami. Sokrates jest przekonany, że garnki wypełniają całkowicie jej życie. Że mogłoby być inaczej, nie przychodzi mu na myśl. Nie rozumie Ksantypy, że pragnie ciepła, miłości, szczęścia. Nie wie, że odtrąci pięknego, młodego kochanka, i nie pójdzie do pracowni wielkiego malarza, aby mu pozować do... aktu. Ksantypa sama nie wie, dlaczego, ale nie pójdzie. Trzyma ją na uwięzi... wielkość jej męża. Rozbija się cała o jego logikę, o jego nieskazitelność moralną. Rozbija się całkowicie, gdy po latach, w nędzy, łachmanach, z głodnymi dziećmi, przychodzi do pałacu jednego z jego przyjaciół, po jednej z uczt sympozjów, których to przebieg notował Plato, kiedy wielka myśl Sokratesa wywiodła wszystkich uczestników po za kręgi powszedniego życia, i rozbłysła nieśmiertelnością, zamieniając sybarytów we wzruszonych czcicieli Idei nieśmiertelności i piękna. Przyszła Ksantypa, aby Sokratesa poniżyć, pokazać w całej okazałości jego oziębłość dla rodziny, obojętność wobec jej nędzy, i wtedy właśnie pada ostatecznie do jego nóg, powalona, zmiażdżona, skruszona jego wielkością.

Piękna scena w dobrej sztuce, przepojonej aurą Grecji. Czujemy Grecję, oddychamy jej powietrzem. Współczujemy biednej zagonionej, złej, (bo jakąż ma być w tej twardej niedoli), Ksantypie, widzimy jednak jej piękność i szlachetność, i nie będziemy już bez wyrozumienia wymawiać jej imienia, nie będziemy już chrzczyć nim innych nieszczęśliwych kobiet, których złość urodziła się z bólu, targania się w złych warunkach, poddania się tragicznym koniecznościom.

Nie jest wygodnie być żoną wielkiego męża. Zamknięty w obręczy swoich pasji twórczych jest niedostępny i obcy. Można go tylko otoczyć opieką — zgotować mu wieczerzę, jak czyni to Ksantypa.

Sztuka wystawiona bardzo pięknie (dekoracje i kostiumy Pażkowskiej, sa jej prawdziwym triumfem), grana doskonale. Modzelewska i Woszczerowicz. Szczególnie wzruszająco wypada taniec Sokratesa i scena pierwsza, jego wejścia, gdy znużony wraca do domu i zastaje dom pusty, wieczerzę nieugotowaną, z całym spokojem układa się na ławie, zasłania twarz skrawkiem peplum i — zasypia.

Trzeba zobaczyć Obronę Ksantypy.

NASZYJNIK WIECZNOŚCI

nowe poezje Janiny Brzostowskiej — Wyd. „Skawa” do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w Adm. „Skawy”. Cena 2 zł.

Z KSIĄŻEK.

Książka o Henryku VIII-mym, Fr. Hacketta: Henryk VIII. Wydawnictwo J. Przeworskiego 1939.

Książka Hacketta o Henryku VIII jest częściowo romansem biograficznym, częściowo natomiast monografią historyczną a raczej stopem tych obu gatunków piśmienniczych. Hackett odtwarza w niej burzliwą historię 6 małżeństw Henryka VIII-go, słowem historię jego życia prywatnego z wszystkimi odcieniami jego duchowej ewolucji, ale równomiernie niemal interesuje go ten dynasta angielski, jako polityk, właściwy twórca wielkomocarstwowego programu Anglii, reformator religijny, walczący z Watykańem, założyciel kościoła anglikańskiego, polemiczny pisarz (walka z Lutrem), wreszcie jako pełna wewnętrznych sprzeczności osobowość, w sumie wyrafinowany wytwór psychologii renesansu. Henryk VIII-my wcielał w sobie Machiawellowski ideał absolutnego władcy. Jego polityka wewnętrzna, która wkraczała nawet na niwę sumień swoich poddanych, t. j. ich wyznania religijnego oraz życia kultury wykazuje dużą zbieżność z doktrynami politycznymi współczesnego totalizmu państwowego. Następstwem takiego kursu politycznego bezwzględnie stosowanego przez Henryka VIII było kilkadziesiąt tysięcy z górą wyroków śmierci. Ofiarą tego masowego mordu, pozorowanego względami natury religijnej, lub politycznej padło również wielu przedstawicieli najwyższej arystokracji angielskiej oraz wielu dygnitarzy duchownych. Nie brakło wśród tych ofiar również przedstawicieli elity kulturalnej, żeby wymienić Tomasza More'a, kanonizowanego później przez kościół katolicki, głośnego w ówczesnej Europie myśliciela.

Powieść biograficzna Hacketta o Henryku VIII-mym, przeobraża się na wielu polach w dzieje renesansowej Anglii, w historię jej krętej, choć konsekwentnej myśli politycznej, jej życia umysłowego i obyczajowego, jej wierzeń religijnych, wreszcie w historię europejskich rywalizacji dynastycznych, walk na tym tle między Francją, Anglią i Hiszpanią wraz z Austrią (Karol V) o zwierzchnictwo polityczne w Europie. Autor, świetny erudyta, pokrewny, L. Strachey'owi, (twórca romansu biograficznego.), głównie umiejętnością psychologicznej analizy zjawisk dziejowych, poza bogatym materiałem opowiadawczym, przemyca o nich na ogół b. trafne, chociaż gdzie nie gdzie przesadnie podmiotowe sądy. Hackett jest anty-deterministą w swojej postawie wobec wypadków historycznych. W jego duchowych portretach historycznych osobistości (a jest ich wcale bogaty zbiór w książce o Henryku VIII) uderza wybitny krytycyzm autora, który bada w nich przedewszystkiem jakość i rozpiętość dziejowego ładunku, promieniającego z tych osobistości. Dla Hacketta człowiek historyczny nie jest wykładniczym odbiciem

nastawień zbiorowych, lecz raczej siłą dziejotwórczą, autonomiczną jednością; nawet w jego najosobistszych przeżyciach szuka Hackett nurtu dziejowości.

Oto więc genezę kościoła anglikańskiego wiąże z pozornie błahymi powikłaniami i trudnościami natury rozwodowej, na tle planowanego przez Henryka VIII jego nowego małżeństwa z Anną Boleyn, straconą następnie w Towerze z jego rozkazu, matką późniejszej królowej angielskiej, Elżbiety.

W stosunku do tego ostatniego zajmuje autor stanowisko raczej przenikliwego psychologa dziejów, starającego się zrozumieć ich irracjonalną grę, niż moralisty. Nie ukrywa bynajmniej przed czytelnikiem odpychających rysów tego w bezprzykładnym stopniu amoralnego władcy angielskiego, nowoczesnego Nerona brodzącego w potokach ludzkiej krwi, dla którego najwyższą wartością była państwowa racja stanu, utożsamiana zresztą z interesem dynastycznym.

Ale w tym złowrogim wampirze na tronie odkrywa Hackett równocześnie polityka o dalekosiężnym spojrzeniu, niepospolitego dynastę, umiejącego wywalczyć swojemu państwu mocarstwową rolę w Europie. Rozumiejąc, że wobec osobistości pokroju dziejotwórczego, stojących ponad prawem oraz moralnością normatywną, do jakich należał bądź co bądź Henryk VIII-my, zawodzą jej sprawdziany, jako podstawa oceny, że polityczne osiągnięcia takich osobistości stanowią wyrównawczy wkład dziejowy, kompensujący do pewnego stopnia ich amoralizm uwzględnił nie tylko wszystkie potworności długiego życia Henryka VIII-bo, lecz również bogatą listę jego blasków, t. j. historycznych zdobyczy. *J. E. Płomieński*

Giacomo Leopardi — Poezje. Tłum. Julia Wieleżyńska. Wyd. Biblioteka Polska, 1939 r.

Tak życie, jak znakomite dzieło Giacomo Leopardiego zasługują na szczególniejszą uwagę. Jest to największy liryk Włoch XIX stulecia, i jeden z największych jakich ludzkość wydała, piszący w tym okresie, na który u nas przypada twórczość Adama Mickiewicza.

Potomek arystokratycznego rodu, wychowany w zamkniętym dla szerszych poglądów pałacu Leopardich w Recanati, potrafił jednak poeta wyjść poza krąg tego zamknięcia, i to wyjść po sławę światową. Swcim położeniem w domu rodzicielskim żywo nam przypomina Zygmunta Krasińskiego w jego młodości, później jednakże różne są drogi ich rozwoju.

Leopardi rozpoczął swą twórczość od pieśni patriotycznych, które jednak na razie większego oddźwięku w społeczeństwie nie znalazły. O wiele później dopiero miał nadejść czas ich rozgłosu. Po tym rodziale jego poezji przychodzi kolej na utwory, w których smutek przelamuje się ze skargą na więzienie, w jakim żyć musi, na „przeraźliwą noc w Recanati“, w którym zamyka go przemoc rodziców i zupełna a upokarzająca od nich zależność finansowa. Zmal-

tretowany był i już chory — nic dziwnego, że coraz bardziej pełną bólu i ponurych myśli stawała się jego poezja.

Obok Schopenhauera był Leopardi czołowym reprezentantem pesymizmu w literaturze — on w liryce, jak Schopenhauer w filozofii. Cała jego późniejsza twórczość tym pesymizmem jest prześiąknięta, i z jego ducha wyrasta. Chorowity, o postaci nikłej, i, jak sam o sobie mówi brzydki, już z natury niejako przeznaczony na pesymistę właśnie, był nim na miarę największą.

Tak pisze — nie trudno się domyślić, że o sobie, w ostatnim śpiewie Safony:

„W pyszne tve królestwo
przyrodo, nędznym ja przybysz,
— — — ku twoim uroczym
kształtom daremnie serce i źrenice
wznoszę w błaganu. Do mnie się nie wdzięczy
stok ukwiecony — — w cienistej oprawie
garbatych wierzb strumyk nieskalanem
perli się łonem; jeśli kiedy muśnie
śliska ma stopa to płynne zwierciadło,
cofa nurty wzgardliwe
cisnąc w ucieczce umajoną niwę...

Skromny bardzo jako człowiek, jako poeta pewien był swej wartości i swego dzieła, które też na trwałe pozostanie w pamięci ludzkiej.

Julii Wieleżyńskiej, która wielkiej pracy przekładu dokonała, z pietyzmem starając się o jaknajlepsze oddanie oryginałów tego zbyt mało u nas znanego twórcy, i zadanie to z godną podziwu rzetelnością a zarazem z pełnym zrozumieniem wspaniałego geniuszu autora spełniła, należy się szczerza wdzięczność czytającej publiczności. Zapewne obcowiała przez czas dłuższy z twórczością Leopardiego i umiała się nią przejąć, gdyż wiersze zachowały w jej pięknych i kulturalnych przekładach swą barwę uczuciową i blask wielkiego umysłu autora.

Janina Brzostowska.

PLEBISCYT

„KOGO NIE WOLNO POMINAĆ W ANTOLOGII POEZJI POLSKIEJ 1918—1940”.

Zwracamy się do wszystkich czytelników Skawy z apelem, aby nam pomogli w decydującym i ostatecznym uzupełnieniu będącej w opracowaniu „Antologii Poezji Polskiej 1918 — 1940”. Aby nie pominąć nikogo, kto w tej antologii znaleźć się powinien, rozpisujemy plebiscyt, którego warunki podajemy poniżej.

WARUNKI PLEBISYTU:

1) Każdy czytelnik „Skawy” może wziąć udział w plebiscycie, pod warunkiem załączenia do odpowiedzi kuponu wyborczego. Kupony zamieszczone będą we wszystkich numerach Skawy w miesiącach marcu, kwieciu i maju.

2) Każdy kupon upoważnia do nadesłania odpowiedzi z wymienieniem trzech autorów, oraz ewentualnie trzech ich utworów. Do odpowiedzi załączyć można uzasadnienie wyboru wierszy (bardzo pożądane, ale nie konieczne), które nadsyłający uważa za tak dobre, że powinny być zamieszczone w antologii. Poeta umieszczony na pierwszym miejscu otrzymuje w ostatecznym obliczeniu 15 punktów, na drugim 10, na trzecim 5. Odpowiedzi bez kuponów będą nieważne.

3) Głosowanie może być jawne (należy podać nazwisko i adres) lub anonimowe (nazwisko i adres w zalakowanej kopercie dołączonej do odpowiedzi). Koperta będzie otwarta tylko w razie przyznania nagrody. I nagroda wynosić będzie zł. 50, II-ga 10 cennych, wybranych przez redakcję książek, III i IV po 5 książek. Listę książek zamieścimy w nast. nrze. W razie kilku jednakowych odpowiedzi nagrody przydzielili się przez losowanie.

4) Na podstawie ilości otrzymanych punktów w numerze **czerwcowym** Skawy podamy spis pisarzy, których czytelnicy chcieliby widzieć we wzorowej antologii poezji polskiej ostatniego dwudziestolecia, oraz wymienione przez głosujących tytuły ich utworów. Zastrzegamy sobie również podanie niektórych ciekawszych uzasadnień.

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem „**Skawy**”, **Warszawa, Nowogrodzka 23 m. 5**. Za odpowiedzi najbardziej zbliżone do idealnej listy poetów (tych, którzy otrzymali najwięcej punktów) rozdzielone zostaną nagrody książkowe.

LISTA KSIĄŻEK PRZEZNACZONYCH NA NAGRODY W PLEBISCYCIE

MORZE W POEZJI POLSKIEJ — Antologia poezji marynistycznych. Zebrał Z. Jasiński. Nakł. Głównej Księg. Wojsk. (2 egz.).

Fr. Hackett — Henryk VIII. Wyd. J. Przeworski. 1939 r. (2 egz.).

Paweł Hulka — Laskowski — Śląsk za Olzą, Wyd. Instytutu Śląskiego 1938 r. (2 egz.).

Dr. Józef Putek — O zbójnickich zamkach, heretyckich zborach i oświęcimskiej Jerozolimie. Kraków 1939 r. (2 egz.).

Marian Sulima — Panna Ewa, W-wa, F. Hoesick, 1939 r.

Aleksander Jackiewicz — Człowiek i jego cień, W-wa, F. Hoesick 1939 r.

Jan Rzewnicki — Moje przygody w Tatrach, W-wa, F. Hoesick. 1939 r.

Janina Brzostowska — Kobieta zdobywa Świat, W-wa, F. Hoesick. 1939 r.

Vladimir Zmeskal — Łużyce w obrazach, Poznań 1938 r.

Adolf Nowaczyński — Młodość Chopina, W-wa, Rój, 1939 r. (2 egz.).

Georges Duhamel — Kronika rodu Pasquier, 5 tomów, W-wa, Gebethner i Wolff. 1939 r.

Oraz nagroda piąta: roczna prenumerata „SKAWY”.

Zaznaczamy, że nie należy nadsyłać odpowiedzi w rodzaju: Tuwim, Wierzyński... i. i. (a takich właśnie sporo otrzymujemy), gdyż autorzy ci i tak pominięci nie zostaną. Chodzi raczej w/g pytania plebiscytowego o poetów mniej znanych czy młodszych, a doskonale piszących. Redakcja bowiem w doborze autorów będzie brać pod uwagę nadesłane odpowiedzi, i powinny jej one pracę ułatwić, a nie utrudnić.

U PISARZY I W REDAKCJACH

Stanisław Baczyński pracuje nad studium p. t. „Powieść Awanturnicza“, które ma być uzupełnieniem wydanego już studium o powieści kryminalnej, oraz przygotowuje do druku książkę p. t. „Podkład społeczny baśni ludowej“.

Jaświga Ważewska, która w zeszłym roku otrzymała nagrodę na konkursie przekładów poetyckich Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie, pracuje obecnie nad przekładem poezji francuskich, zwłaszcza Anny de Noailles i Francis Jammesa. Nadto drukuje w „Kurjerze Porannym“ cykl tłumaczeń artykułów prozą Rosy Bailly, propagatorki przyjaźni polsko-francuskiej i założycielki Tow. „Les Amis de la Pologne“.

„**Obrona Kultury**“ zamieszcza dwa artykuły o palącej sprawie ŁUŻYC, o ich tragicznym konaniu. Ten naród, na który niegdyś Niemcy nałożyli karę śmierci za używanie własnego języka, żyje jeszcze, resztą sił, ale już dusi go żelazny uścisk Germanii. W numerze pozatem „Szturmówka pisarzy na Zaolziu“ M. Morozowicz-Szczepkowskiej, „Dynastia Pawlikowskich“ Stefana Górskiego, artykuły o książce i księgarstwie i w. i.

„**Wiry**“ są jedynym z bardziej interesujących pism ukazujących się w Warszawie. W ostatnim numerze tego pisma znajdujemy między innymi utwory W. Rzymowskiego, Włodzimierza Lenckiego, Jana Karola Wengdo, St. R. Dobrowolskiego, i w. i.

Z braku miejsca dalszy przegląd czasopism oraz dział „Książki i czasopisma nadesłane“ przenosimy do nast. nru.

Do nru. dzisiejszego dołączamy „Biuletyn K.O.J. nr. 3“.

KUPON PLEBISCYTOWY

« S K A W Y »

ERRATA. na str. 12-ej w podtytule ma być „Tak powiedział Zarathustra“.

**Kto pragnie z pismem wejść w kontakt, musi je przede-
wszystkiem zaprenumerować!**

**ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 23 m. 5 TEL. 9-55-88**

Ceny ogłoszeń: cała stronica poza tekstem — 120 zł. w tekście — 140 zł., jeden milimetr szer. szpalty — 3 zł. w tekście i poza tekstem.

Druk „Odrodzenie“ Marszałkowska 52 tel. 9-04-10

P. I
298